

Ludzie, po których zostają góry

(Dokończenie ze strony 15)

Nie dziwiło mnie nigdy, że po jego teksty sięgali wykonawcy, że zdobywały nagrody na Studenckiej Giełdzie Piosenki Turystycznej, że rozbrzmiewały w Opolu i na niezliczonych festiwalach. W jego słowach od początku była muzyka. Nie ta zapisana w nutach, lecz ukryta w rytmie zdań, w oddechu wersów, w pulsowaniu języka. A przecież obok poezji pisał także prozę, książki dla dzieci, teksty piosenek. Był twórcą wszechstronnym, ale nigdy nie odnosiłem wrażenia, że chce cokolwiek komukolwiek udowodnić. Tworzył, bo nie potrafił nie tworzyć. Tak właśnie rozumiał literaturę. Nie jako zawód, nie jako drogę do sławy, lecz jako sposób życia. Bardzo często wracam myślami do naszych spotkań w Krakowie. Ileż razy umawialiśmy się właściwie bez planu. „Jestem w mieście” – pisałem albo dzwoniłem. „To chodźmy do Jaszczurów” – odpowiadał niemal natychmiast. I szliśmy. Nie pamiętam już nawet, ile piw wspólnie wypiliśmy. Nie pamiętam wszystkich tematów rozmów, ale pamiętam atmosferę. Pamiętam ten niezwykle spokojny, który od niego emanował. Pamiętam śmiech. Pamiętam błysk w oczach, kiedy opowiadał kolejną historię. Pamiętam jego serdeczność wobec kelnerów, przypadkowo spotkanych ludzi, młodych poetów, którzy z nieśmiałością podchodzili się przywitać.

Nigdy nikogo nie zbywał, nie dawał odczuć, że jest od kogokolwiek ważniejszy. Właśnie dlatego był ważny. Był człowiekiem, który nie nosił w sobie cienia pychy. To dziś cecha niemal wymarła. Im bardziej ktoś staje się rozpoznawalny, tym częściej zaczyna wierzyć we własną wyjątkowość. Andrzej zachował niezwykłą pokorę. Może dlatego, że wiedział, iż wobec gór wszyscy jesteśmy mali. Może dlatego, że literatura nauczyła go słuchać bardziej niż mówić.

Ostatni raz spotkaliśmy się podczas mojego wieczoru autorskiego w Klubie Dziennikarza „Pod Gruszką”. Dzisiaj wracam do tamtego spotkania z ogromnym wzruszeniem. Wtedy wydawało się jednym z wielu. Dziś wiem, że każde wspólne spotkanie jest darem, którego wartości człowiek najczęściej uświadamia sobie dopiero po czasie. Rozmawialiśmy jak zawsze. Bez pośpiechu, bez wielkich słów. Śmialiśmy się. Planowaliśmy kolejne spotkanie, bo przecież zawsze wydaje się nam, że czasu będzie jeszcze dużo, że zdążymy, że jeszcze nie raz usiądziemy przy tym samym stoliku, że może jeszcze zadzwoni telefon, jeszcze przyjdzie mail z nowym wierszem. Życie jednak nie pyta nas o zgodę. Piszę własne zakończenia. I właśnie z tego powodu tak bardzo boli świadomość, że pewnych rozmów już nigdy nie dokończymy.

Coraz częściej łapię się na tym, że zamiast mówić o teraźniejszości, opowiadam o ludziach, których już nie ma. Jakby moja pamięć

stawała się coraz obszerniejszą biblioteką, a półki z napisem „obecni” kurczyły się z roku na rok. Otwieram kolejne tomy wspomnień i widzę twarze. Słyszę głosy. Wracają miejsca, zapachy, gesty. Wśród nich zawsze jest Andrzej. Nie jako pomnik, nie jako nazwisko z encyklopedii, nie jako laureat konkursów, autor tomików, twórca piosenek czy współzałożyciel legendarnej Grupy Poetyckiej „Tylicz”. Widzę przede wszystkim człowieka.

To właśnie człowiek jest największym dziełem swojego życia. Można napisać setki wierszy. Można zdobyć najważniejsze nagrody. Można przejść do historii literatury. A jednak po latach najczęściej pamięta się nie książki, lecz dobroć. Nie recenzje, lecz uśmiech, nie tytuły, lecz serdeczność. Takiego Andrzeja zapamiętam. Człowieka, który nigdy nie odmawiał rozmowy, który miał czas dla ludzi, który nie pytał, co zyska, ale co może ofiarować, który potrafił słuchać z taką samą uwagą debiutanta, jak słuchał uznanego poety, który nigdy nie zamknął się we własnej legendzie.

Dzisiaj takich ludzi jest coraz mniej. Świat stał się głośniejszy, bardziej nerwowy, bardziej zachłanny. W literaturze także coraz częściej zwycięża krzyk zamiast skupienia, autopromocja zamiast pokory, efekt zamiast prawdy. Andrzej należał do innego pokolenia. Do ludzi, którzy wierzyli, że najpierw trzeba być przyzwoitym człowiekiem, a dopiero później poetą. I może właśnie dlatego jego poezja nigdy się nie zestarzeje, bo była prawdziwa, nie powstała z mody, nie próbowała nikomu przypodobać się za wszelką cenę. Była wierna sobie. Tak jak wierny sobie był jej autor. Nie zapomnę jego uporczywego podkreślania, że urodził się w Sosnowcu i że jest z Zagłębia, a nie ze Śląska. Mówił o tym z charakterystycznym uśmiechem, ale i z przekonaniem człowieka mocno zakorzenionego w swojej małej ojczyźnie. Potem przyszły studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, Kraków, środowisko literackie, Grupa „Tylicz”, kolejne książki, kolejne spotkania z czytelnikami. A jednak nigdy nie odciął się od swoich korzeni. Nosił je w sobie z dumą i z czułością. Zawsze podziwiałem tę wierność. Może dlatego jego wiersze miały w sobie tyle autentyzmu. Nie pisał o świecie wyobrażonym. Pisał o świecie przeżytym. I właśnie dlatego potrafił poruszać. Wiem, że jeszcze nieraz będę odruchowo chciał do niego zadzwonić, że kiedy zobaczę piękną połoninę, beskidzki las, mgłę osiadającą na dolinie albo jesienne buki płonące czerwienią, pomyślę: „To jest pejzaż dla Andrzeja”. Będę chciał wysłać mu zdjęcie, dopisać kilka zdań, zapytać, co właśnie pisze, a potem przypomnę sobie, że nie każda rozmowa może mieć ciąg dalszy, że nie każda przyjaźń kończy się kolejnym spotkaniem. Niektóre kończą się pamięcią, ale pamięć także potrafi być formą obecności. Dopóki wspominamy ludzi, którzy byli dla nas ważni, dopóty oni naprawdę nie odchodzą. Zostają w naszych gestach, w naszych słowach, w sposobie patrzenia na świat. Ile razy dziś zatrzymuję się nad wierszem o górach, tyle razy słyszę gdzieś w tle głos Andrzeja. Nie dlatego, że go naśladowę. Dlatego, że nauczył mnie patrzeć uważniej. Patrzeć nie tylko na krajobraz, ale patrzeć na człowieka.

Myślę dzisiaj również o całym naszym pokoleniu. O poetach, z którymi przemierzałem Polskę od festiwalu do festiwalu, od domu kultury do domu kultury, od biblioteki do biblioteki. Jak wiele twarzy zniknęło już z tej drogi – to już idzie w dziesiątki... Każde odejście pozostawia pustkę, której niczym nie można wypełnić. Literatura trwa. Książki zostają. Ale przyjaźni nie da się dodrukować. Nie można wznowić wspólnej rozmowy, można dopisać kolejnego wieczoru przy piwie w „Pod Jaszczurami”, nie można cofnąć czasu. Można tylko dziękować.

Dziękuję Ci więc, Andrzeju, za te wszystkie lata. Za rozmowy, które często były ważniejsze niż niejedna konferencja literacka, za telefony, które poprawiały humor, za maile, które przychodziły zawsze w odpowiednim momencie, za spotkania w Krakowie, za Ciężkowice, za Zelów, za wspólne wieczory autorskie, za śmiech, za anegdoty, za Twoją dobroć, za życzliwość, za skromność, za niepowtarzalne poczucie humoru. Dziękuję za to, że nigdy nie musiałem się zastanawiać, czy mogę do Ciebie zadzwonić. Wiedziałem, że po drugiej stronie zawsze będzie przyjaciel.

Dziękuję również za Twoją poezję. Za to, że nauczyłeś mnie jeszcze mocniej kochać krajobraz, za to, że pokazałeś, iż metafora nie jest ozdobą, lecz sposobem widzenia świata, za to, że przypomniałeś wszystkim, iż prawdziwa poezja nie potrzebuje krzyku. Wystarczy szept, wiatr, jedno dobrze zapisane zdanie. Jestem przekonany, że polska literatura zapamięta Andrzeja Krzysztofa Torbusa jako wybitnego poetę. Takiego, który nie szukał rozgłosu, ale prawdy. Takiego, który potrafił z kilku słów zbudować cały świat. Takiego, którego wiersze pachną lasem, mokrą ziemią, dymem z ogniska, jesiennym liściem i beskidzkim wiatrem.

Ja jednak zapamiętam go przede wszystkim inaczej. Jako człowieka. Jako przyjaciela. Jako brata-łate wszystkich poetów.

Kiedy powiedziałem, że po śmierci Jerzego Harasymowicza to właśnie Andrzej Krzysztof Torbus stał się najwybitniejszym polskim poetą pejzażu. Dzisiaj powtarzam te słowa z jeszcze większym przekonaniem. Nie dlatego, że odszedł. Nigdy nie wierzyłem w zwyczaj wynoszenia ludzi na piedestał dopiero po ich odejściu. Mówiłem to od lat i nadal tak uważam. Bo jego poezja nie była opisem gór. Ona sama była górami. Nie była opowieścią o wietrze. Ona sama była wiatrem.

Nie była pejzażem. Była jego duszą. Dlatego jestem spokojny. Poeci naprawdę nie umierają.

Odchodzą tylko ci, którzy ich znali. Oni sami zostają. W swoich książkach. W pieśniach.

W pamięci przyjaciół. W szelestach bukowych lasów. W zapachu połonin. W ciszy beskidzkich dolin.

Ileokroć ktoś otworzy tomik Andrzeja Krzysztofa Torbusa, gdzieś nad górami znowu powieje ten sam wiatr, który prowadził go przez całe życie.

Do zobaczenia, Przyjacielu!

Tam, gdzie wszystkie ścieżki w końcu prowadzą na jedną, najwyższą połoninę.

Andrzej Dębowski